Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 248 (Rok XIV, Nr 11) 1 czerwca 1954 Cena (Price) 1/6

ZOSTAŁO DZIEWIĘĆ DNI

W DNIU 14 marca nastąpiła zgoda narodowa i podpisanie Aktu Zjednoczenia przez stronnictwa i ugrupowania. Nazajutrz wysunięty przez ustępującego Prezydenta i przyjęty jednomyślnie przez wszystkie stronnictwa kandydat na następcę gen. Kazimierz Sosnkowski przedłożył akt prez. Zaleskiemu i wyraził gotowość oficjalnego przyjęcia następstwa na najwyższym urzędzie. Od tego czasu minęło przeszło dwa i pół miesiąca i ku zdumieniu społeczeństwa nie tylko gen. Sosnkowski nie został wyznaczony następcą, ale prez. Zaleski za pośrednictwem swej kancelarii cywilnej oświadczył, że nie uznaje Aktu Zjednoczenia.

Widowisko ośmieszające całą emigrację i sprawiające radość wrogom niepodległości Polski trwa.

Prasa polska w całym wolnym świecie bez ogródek potępia prez. Zaleskiego i wskazuje na jego odpowiedzialność w podrywaniu ciągłości prawnej państwa na uchodźstwie. Wszystkie organizacje polskie, wszystkie zebrania od zjazdów centralnych po grupy zebranych na obchodach narodowych uchwalają apele o wyznaczenie gen. Sosnkowskiego następcą. W samym Londynie domaga się tego wielkie publiczne zgromadzenie zwołane przez Zjednoczenie Polskie 30 maja, na którym zgodnie zabierali głos przedstawiciele do niedawna zwalczających się kierunków. Setki tych apeli dociera do kancelarii Prezydenta. I jakiż jest skutek? Ten, że wysyłający rezolucje otrzymują na swój adres anonimowe broszury przeciw zjednoczeniu politycznemu, wydane w ostatnich miesiącach w Londynie.

Dziewiątego czerwca mija termin, w którym zgodnie ze swym oświadczeniem sprzed roku prez. Zaleski ma złożyć urząd.

Do ostatniej chwili chcemy wierzyć, że wbrew pogłoskom złoży go w tym dniu w ręce gen. Sosnkowskiego.

SOWIECKA KONCEPCJA EUROPY I AZJI

Kolejne propozycje Mołotowa w Berlinie i ostatnio w Genewie pozwalają zorientować się, co jest oficjalnym celem dyplomacji Kremla na kontynencie eurazjatyckim.

Sowiety proponują w Europie i w Azji zawarcie paktów bezpieczeństwa zbiorowego lub lokalnych paktów nieagresji. Istotną ich cechą ma być udział lokalnych kontrahentów europejskich i azjatyckich, status konsultatywny dla Stanów Zjednoczonych w Europie oraz wykluczenie państw nieazjatyckich z paktów na Dalekim Wschodzie.

Koncepcja ta miałaby się opierać w Europie na uznaniu obu republik niemieckich i włączeniu ich do europejskiego paktu gwarancyjnego, w którym wszystkie państwa podpisujące zobowiązałyby się do wzajemnego odparcia ewentualnego napastnika z wewnątrz lub zewnątrz. Jednocześnie rozmowy o ewentualne zjednoczenie Niemiec byłyby kontynuowane pomiędzy rządami obu niemieckich republik.

Na Dalekim Wschodzie nowy porządek opierałby się o trzy pozycje. W Korei miałoby dojść do ogólnych wyborów, pod nieobecność wojsk cudzoziemskich i bez kontroli międzynarodowej. Wyłoniony z takich wyborów rząd objąłby panowanie nad całą Koreą. Podobne, jałtańskie rozwiązanie, Mołotow sugeruje dla Indochin, choć drogę do takiego załatwienia przedstawia mniej wyraźnie. Opinię azjatycką Moskwa sonduje rozpuszczając pogłoski o możliwościach paktu nieagresji pomiędzy Burmą, Chinami i Indiami. W kołach rządowych Burmy sondaże spotkały się z przychylnym stanowiskiem.

Tak jak z Europy Stany Zjednoczone miałaby się praktycznie wycofać, tak musiałyby one bezwarunkowo opuścić Azję. Oczywiście nie ma też mowy o udziale Australii czy Nowej Zelandii w układach azjatyckich.

Dla wykluczonych państw zamorskich propozycje są nie do przyjęcia, jednak ich wprowadzenie w życie zależałoby w dużym stopniu od zgody samych zainteresowanych Europejczyków czy Azjatów. Tu zaś działa sprytny sowiecki klin mający rozdzielić ich od Amerykanów.

Dotychczas polityka sowiecka osiągnęła znaczne sukcesy. Ostatnim najważniejszym była uchwała niemieckiej partii wolnych demokratów, popierających Adenauera i wchodzących do jego rządu, w której domagają się cni nawiązania stosunków dyplomatycznych pomiędzy Bonn i Moskwą. Gdyby to nastąpiło, Rosja znalazłaby nowy atut do rozsadzania wojskowego porozumienia zachodnio-europejskiego i tak już trzeszczącego pod uderzeniami uśmiechów Moskwy do poszczególnych jego partnerów.

Gdyby polityka sowiecka dopięła swego oznaczałoby to oddanie narodów Azji i Europy na łaskę Chin i Sowietów. Powstałby wtedy system, w którym najwyższa godność polityczna to republika związkowa sowiecka, następna to państwo satelickie, a najniższa to wszyscy pozostali, powoli skazani na słuchanie komendy z Moskwy.

Na szczęście trudno przewidywać, by Sowietom udały się ich zamierzenia. Pomimo chwilowego rozbicia sprzymierzonych, nie widać aby chcieli popełnić samobójstwo.

W sprawach azjatyckich szczególną rolę będzie grała Australia. Wobec możliwości przewrotu komunistycznego w sąsiedniej Indonezji, Australij-

czycy są niezmiernie wrażliwi na prawdopodobieństwo rozciągnięcia na południe wpływów Chin komunistycznych. Nie mogą zgodzić się na to, a ponieważ są członkiem Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, przeto ich postawa z natury rzeczy musi wpływać na postawę Wielkiej Brytanii. W przeciwnym kierunku ciągnie wprawdzie Nehru, ale zdaje się, że australijska koszula jest bliższa angielskiemu ciału niż hinduska kamizelka.

Biorąc pod uwagę stanowisko Stanów Zjednoczonych, które od początku nie chciały słuchać propozycji Mołotowa, nie należy przewidywać powodzenia sowieckich projektów.

NIEZGODA ZACHODU

Niebezpieczne pęknięcia pojawiły się na powierzchni dotąd jednolitego bloku anglo-amerykańskiego. W Genewie i za jej kulisami polityka Stanów Zjednoczonych poszła jedną drogą, Wielkiej Brytanii inną drogą.

Nie próbując tu analizować dlaczego tak jest, wystarczy stwierdzić, że jesteśmy świadkami znacznego sukcesu sowieckiego. Od chwili śmierci Stalina, władcy Sowietów postanowili grać na zwłokę w polityce międzynarodowej i próbować wbić klin pomiędzy Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię. Klin dziś jest widoczny nawet gołym okiem i to napawa smutkiem wszystkich mieszkańców Europy środkowej, a także wszystkich prześladowanych przez bolszewizm na całym świecie.

Bez jedności wielkich państw Zachodu nie może być mowy o sprawnej obronie przed zaborczą polityką Sowietów. Bez niej nie może być nawet marzeń o wyzwoleniu naszej części Europy. Dlatego rysy na jedności aliantów są smutne.

Już w okresie rozmów genewskich przyniosły one wyraźne korzyści stronie sowieckiej. Społeczeństwa zachodnie z dnia na dzień znalazły się w próżni, którą trudno zrozumieć. Sprawa Indochin była znana Waszyngtonowi i Londynowi od kilku lat. W sąsiadującej z Indochinami federacji malajskiej także od dłuższego czasu trwają zacięte walki. Dalej na południowy-wschód republika Indonezji jest poważnie zagrożona od wewnątrz przez możliwość rewolucji komunistycznej, a jej kolejne rządy nie mogą obronić się przed penetracją komunistyczną. W ten sposób niebezpieczeństwo dociera pośrednio do wrót Australii.

My Polacy, nie mamy wpływu na rozwój stosunków anglo-amerykańskich. Jesteśmy nimi jednak w najwyższym stopniu zainteresowani. Ci z naszych braci, którzy są obywatelami tych krajów, nie posiadają zbyt wielkiego głosu, jednak w sprawie tej mogą być czynnikiem łagodzącym i przypominającym, że wolny świat będzie albo jednolity, albo go wcale może nie być.

DYPLOMATYCZNE PSEUDONIMY

Skromny chłopak w małej wsi nazywał się Szorochow. Kiedy po latach szkolenia znalazł się w centrali moskiewskiego MWD używał nazwiska Proletarskij. Kiedy zaś sowieckie ministerstwo spraw zagranicznych wysłało go do poselstwa w Sztokholmie otrzymał paszport na nazwisko Pietrow. Ta krótka historia zawiera tajemnicę nie jednego sowieckiego urzędnika dyplomacji, ale można sądzić bardzo wielu. Sowiety wysyłają zagranicę ludzi, ukrywających się pod pseudonimami.

Jest to bardzo swoista interpretacja przyjętych zasad reprezentacji dyplomatycznej. W Europie ustaliło się od wieków, że dyplomacja oficjalna operuje zagranicą ludźmi znanymi i nieukrywającymi się. Nie tylko posłowie są znanymi jednostkami we własnym społeczeństwie, ale nie ma powodów aby urzędnicy poselstw ukrywali swe nazwiska i czym są. Wolne więc państwo Europy czy Ameryki jest reprezentowane przez ludzi, których przeszłości i nazwiska nie obciążają żadne zarzuty. Jest to niepisana zasada reprezentacji przez porządnych ludzi.

Sowiety od początku swego istnienia stosowały zasadę przeciwną. Ponieważ niewiele było na to dowodów, opinia świata mało co mogła konkretnego powiedzieć. Dziś sprawa jest zupełnie wyraźna. Okazuje się, że b. ambasador sowiecki w Stanach Zjednoczonych, Paniuszkin, to generał sowieckiego wywiadu. Sekretarz sowieckiego poselstwa w Australii, to pułkownik sowieckiej służby szpiegowskiej, występujący jako dyplomata pod fałszywym nazwiskiem. W ten sposób wyrasta poważny zarzut pod adresem dyplomacji sowieckiej — wysyła ona zagranicę urzędników i wystawia im fałszywe paszporty na fałszywe nazwiska.

Argument, że w każdym państwie obywatel może zmieniać nazwisko z zachowaniem pewnych form, nie może tu się ostać. W świecie cywilizowanym zmiana nazwiska jest publiczna i ślady jej są w gazetach, gdzie jawnie się ją oznajmia. Nic podobnego nie miało miejsca w aferze Pietrowa-Szorochowa. Zmiana nazwiska na Pietrow była zmianą tajną.

Bolszewizm może deklamować co chce na temat jego pokojowych zamiarów i chęci współżycia z całym światem. Nas od dawna nie może oszukać.

Przychodzą czasy, w których coraz trudniej będzie oszukać i innych. Jeżeli bowiem Sowiety nie mają zamiarów zaborczych, to czemu ich australijskie poselstwo było obsadzone przez ludzi ukrywających swą prawdziwą przynależność do ministerstwa bezpieczeństwa, ukrywających stopnie służbowe i nazwiska. Ktoś mógłby powiedzieć, że dowody są tylko w sprawie Pietrowa. Tak, ale jaką mamy gwarancję, że Antonow to Antonow. Podobnie jak inni mógł nazywać się zupełnie inaczej, tym bardziej że nazwisk od Piotra czy Antoniego można stworzyć ile się chce, tak są popularne.

Sowietom może na tym nie zależy, faktem jednak jest, że ich dyplomacja jest dziś nieprzyjemnie skompromitowana.

FORMOZA I GWATEMALA

Zdarzyły się dwa skandale międzynarodowe, w których reżim komunistyczny naraził znów dobre imię Polski. W pierwszym wypadku statek „Gottwald" pod polską banderą handlową naruszył blokadę Chin, prowadzoną przez jeden z rządów chińskich przeciw drugiemu. Swoboda polskiej bandery została pogwałcona przez marynarkę rządu nacjonalistycznego i drugi z kolei statek został aresztowany. Tak wygląda strona formalna i przeciw temu aresztowi Bierut organizuje masowe protesty w miastach i fabrykach. Tymczasem odpowiedzialność za przykrości spotykające naszych marynarzy i za szkody ponoszone przez państwowe przedsiębiorstwa żeglugi ponosi reżim. On bowiem wysyła statki polskie na tereny gdzie rozgrywa się wojna domowa i czynnie interweniuje w sprawy odległego państwa, w pełnej świadomości, że stwarza to stan niebezpieczeństwa dla statków i załóg.

Coś jeszcze gorszego stało się w Ameryce Środkowej. Transporty broni dla rządu gwatemalskiego zostały wysłane z portu w Szczecinie, przy czym wiadomo, że transporty te są narzędziem zwalczania polityki większości państw kontynentu amerykańskiego. Na ostatniej konferencji panamerykańskiej zdecydowana większość wypowiedziała się przeciw penetracji komunistycznej. Tę wolę większości Amerykanów gwałci reżim komunistyczny stwarzając wrażenie, że to Polska w sposób nielegalny wtrąca się do spraw amerykańskich. Dla nas jest oczywiste, że Polska tego nie czyni, ale że dzieje się to za wolą Moskwy.

Trzeba pamiętać, że w Ameryce mieszkają miliony ludzi polskiego pochodzenia, że znaczna ich część zachowała polskie obywatelstwo i że każda akcja, za którą będą winić administrację Polski, może się odbić na interesach Polaków.

Nie ma wątpliwości, że Bierut nic sobie nie robi z interesów Polski na szerokim świecie. Usiłuje on identyfikować interesy naszego kraju z interesami sowieckimi i dlatego całkowicie negliżuje i Polskę i Polaków. Uchodźcy polscy na całym świecie powinni to bez przerwy przypominać.

To nie Polska wysyła broń do Gwatemali, nie Polska zajmuje się kontrabandą na wodach chińskich. To sowieccy urzędnicy, zarządzający polskim terytorium z ramienia sąsiada.

NOWY PROCES „SZPIEGOWSKI"

W kraju szykuje się nowy proces „szpiegowski". Oskarżonych jest dwudziestu pięciu, nie wszystkie nazwiska podano oficjalnie. Mieli oni rzekomo być przeszkoleni bądź w Niemczech zachodnich, bądź w Anglii. Kilku miało być „zrzuconych do Polski jako desant balonowy". Jeden był „wcielony do armii Andersa w r. 1946".

REAKCJE W ALBERT HALLU

Na obchodzie dziesięciolecia bitwy o Monte Cassino w londyńskim Albert Hallu zebrało się kilka tysięcy Polaków, najdalszych myślami w tym dniu w swojej masie od rozgrywek politycznych wewnętrznoemigracyjnych. Tym charakterystyczniejsze więc i tym bezpośredniejsze są reakcje polityczne tej publiczności rozmaitej wiekiem, płcią i wykształceniem.

Gdy na wstępie akademii gen. Wiśniowski odczytał dekret Prezydenta i doszedł do słów „mianuję generała" wybuchły gwałtowne oklaski, ponieważ myślano, że chodzi o oczekiwaną od dawna nominację gen. Sosnkowskiego na następcę. Gdy witając przybyłych w pierwszym rzędzie wymienił obecnego prezydenta Zaleskiego, nie padł ani jeden oklask, mimo iż w ciągu tego zebrania klaskano bardzo często i długo. Gdy w swym zagajeniu wspomniał nazwisko gen. Sosnkowskiego, zerwała się burza oklasków, podniosły się okrzyki, między innymi: „Niech żyje prezydent Sosnkowski", przyjęty entuzjastycznymi oklaskami.

ZANIEPOKOJENIE I OBURZENIE CAŁEJ PRASY POLONIJNEJ

Szeroki nurt opinii publicznej stającej w obronie dokonanego zjednoczenia politycznego oraz jednomyślnie domagającej się objęcia urzędu Prezydenta R.P. przez gen. Sosnkowskiego zatacza coraz szersze kręgi, obejmujące wszystkie kraje osiedlenia polskiego. Zdrowy instynkt narodowy i głęboki patriotyzm rzesz polskich znajdują oddźwięk na łamach prasy polskiej, która poświęca wiele uwagi zarówno informacjom z Londynu jak i od siebie komentuje wydarzenia.

Znany tygodnik „Pittsburczanin" pod tytułem, na całą szerokość pierwszej strony, „Upór prezydenta Zaleskiego stwarza nieprawdopodobną sytuację", podaje:

„Taktyka prezydenta Zaleskiego (nie należy już mówić o jego otoczeniu, on bowiem ma głos decydujący, a otoczenie słucha go ślepo), wywołuje powszechną nieufność do jego zamiarów i nowych projektów. Coraz mniej Polaków zaczyna wierzyć w to, że zamianuje generała Sosnkowskiego, co kilkakrotnie deklarował. Powszechnie uznaje się, że wszystkie dotychczasowe propozycje p. Zaleskiego nie są wysuwane w duchu „fair play" i nie widać w nich troski głównej o sprawę polską. Niezadowolenie opinii polskiej wynika z egoizmu prezydenta Zaleskiego".

Dziennik nowojorski „Nowy Świat" pisze 15 maja:

„Osobliwe są przejawy osobliwych posunięć na malutkiej polskiej szachownicy politycznej, o których świat zewnętrzny mało co wie, ale gdyby nawet wiedział, to nie wiadomo, czyby się nimi zainteresował. Do znaczenia bowiem wielkich wydarzeń politycznych w tym małym światku na malutkiej szachownicy podnoszone są takie sprawy, jak np. dymisja rządu Dolanowskiego z jednej strony, lub rozłupywanie zapałki przez tzw. „koła zamkowe" w rozmyślaniach nad „niekonstytucyjnością aktu zjednoczenia"... Na cieniutkiej już tylko pajęczynie zawisła wskutek powyższego ciągłość konstytucyjna państwowości polskiej na wygnaniu".

W artykule pt. „Klątwa diaspory" ten sam dziennik pisze 11 maja:

„Gorszące widowisko londyńskie... Wiemy dzisiaj, że prezydent Zaleski, dający od czasu podpisania aktu zjednoczenia dowody osobliwego nastawienia personalnego do tego zagadnienia, trzyma w zanadrzu dawno już temu wydrukowany „Dziennik Ustaw", zawierający ogłoszenie następstwa generała Andersa, a nie generała Sosnkowskiego. Wróble na dachu mówią o tym w polskim Londynie, że spoczywający od dawna w biurku prezydenta Zaleskiego, wbrew przepisom konstytucji, dekret nominacyjny nosi nazwisko generała Andersa. Niewielu jednak wiedziało do niedawna, że jest nawet i „Dziennik Ustaw" z dekretem nominacyjnym. Zarówno ów utajony w biurku prezydenckim dekret, jak i ów skrzętnie przechowywany „Dziennik Ustaw" z przedrukowanym w nim dekretem — miały być zniszczone skoro tylko wszystkie stronnictwa z obozu zjednoczenia zgodzą się na kandydaturę generała Sosnkowskiego. Tak było w styczniu roku 1953, tak było do niedawna. Teraz jednak jest inaczej. Teraz jest sytuacja, którą niektórzy nazywają zmierzchem ciągłości państwa polskiego na emigracji, inni przededniem jej zerwania, a jeszcze inni po prostu „degrengoladą"...".

„Dziennik dla Wszystkich" z Buffalo:

„Najbardziej niepokojący jest jednak fakt, że coraz częściej, z poważnych kół spotkać można twierdzenie, że p. Zaleski bynajmniej nie ma zamiaru mianować gen. Sosnkowskiego swym następcą. Mówi się także, że w kołach „zamkowych" są ludzie, dający posłuch ośrodkom, które nie pragną, aby Polacy byli zjednoczeni. Czyżby to mogło być prawdziwe?... Dzisiaj nie ma już chyba wątpliwości, kto ponosi odpowiedzialność za to, że zjednoczenie jest chwilowo tylko aktem na papierze. Z jednej strony ogromna większość emigracji polskiej, a z drugiej strony maleńka grupka osób, którzy właściwie reprezentują tylko samych siebie, a głoszą, że reprezentują Rzeczpospolitą, ponieważ uchwycili symbole i nie chcą ich wypuścić z rąk".

„Dziennik Związkowy" z Chicago:

„Gorsząca ta sprawa, której powodów dobrzy i patriotyczni Polacy usiłowali doszukiwać się w tak zwanym „otoczeniu" prezydenta Zaleskiego, lub w tzw. „sferach zamkowych", jest — jak już dzisiaj wiemy, dziełem samego prezydenta Zaleskiego... Ponieważ konstytucyjna ciągłość państwa polskiego wisi już na bardzo cienkiej nitce, dalsze ociąganie się z nominacją gen. Sosnkowskiego nie może nie odbić się ujemnie na zespoleniu przedstawicielstwa wolnych Polaków".

Kanadyjski tygodnik „Głos Polski":

„Oto zaczęły przenikać z Londynu niepokojące wieści. Być może są to plotki, chcielibyśmy, by tak było, ale pochodzą niestety ze zbyt poważnych

źródeł, by można je bagatelizować. Wieści te mówią, że prez. Zaleski wysuwa zamiast gen. Sosnkowskiego kandydatury Bogusława Miedzińskiego, ostatniego marszałka Senatu, panią Aleksandrę Piłsudską, wdowę po Pierwszym Marszałku Polski, a wreszcie gen. Wł. Andersa. Nie trzeba dodawać, że niezależnie od tego, jakby się ktoś zapatrywał na te kandydatury, wysuwanie ich praktycznie oznacza próbę rozbicia i unicestwienia Aktu Zjednoczenia. Przeciwko takim próbom opinia polska wypowie się w sposób jak najbardziej zdecydowany. Nie interesują nas bowiem takie czy inne personalne rozgrywki, nie obchodzi nas ile kto będzie miał mandatów w Radzie Zjednoczenia, ale pragniemy wreszcie zgodnego współdziałania czynników niepodległościowych. Skoro po ciężkiej i uporczywej pracy gen. Sosnkowskiego porozumienie zostało osiągnięte, to każdy, który je będzie — obojętne z jakiego urojonego powodu — torpedował, będzie musiał być napiętnowany. Dość bowiem tych personalnych swarów, które oblewają nas tylko rumieńcem wstydu!".

Argentyński tygodnik „Głos Polski":

„Podpisany w Londynie Akt Zjednoczenia nie należy do rzędu często spotykanych w życiu politycznym porozumień i umów. Stanowi on punkt zwrotny, przełomowy w historii naszego życia politycznego z ostatnich dziesiątków lat. Akt Zjednoczenia zamyka bezpowrotnie i ostatecznie okres rozbicia i podziału zapoczątkowany zamachem stanu w 1926 roku. Po dwudziestu ośmiu niemal latach nieprzejednanego skłócenia wewnętrznego, doszło wreszcie, niestety na obcej już ziemi, do zasypania przepaści dzielącej dotąd społeczeństwo polskie. Jest to drugi i ostatni etap jedności narodowej, która zapoczątkowana porozumieniem stronnictw opozycyjnych wyrażonym w historycznej deklaracji Krajowej Rady Jedności Narodowej z dnia 15 marca 1944 r. objęła dziś również obóz tzw. „rządowy", tworząc jednolite, mocne i zdrowe zręby dla naszych wysiłków zmierzających do walki o sprawę polską i odbudowanie niepodległego bytu państwowego.

O wielkości i wadze dokonanego przewrotu świadczy to, że potrzeba było blisko półtora roku niesłychanych wysiłków by przełamać nagromadzone latami spory i udaremnić zakulisową akcję antyzjednoczeniową ze strony tych małych ludzi i ciemnych sił, które w zjednoczeniu widziały przekreślenie swych ambicji osobistych i widoków łatwej, żerującej na rozbiciu, kariery politycznej.

Akt Zjednoczenia oparty o zasady istotnej demokracji przekreśla wszelkie grupowe czy mafijne przywileje otwierając dla wszystkich społecznych i politycznych elementów równy start oparty na realnych wartościach i rzetelnych zasługach. Przywrócenie polskiemu życiu politycznemu, demokratycznych w zrozumieniu zachodnim fundamentów stanowi główną zasadniczą, rewolucyjną istotę omawianego Aktu".

Pisma polskie w Australii, z najpoważniejszym „Tygodnikiem Katolickim" na czele, również zgodnie domagają się objęcia przez gen. Sosnkowskiego urzędu Prezydenta R.P.

ANTONI DARGAS

SUMIENIE GŁOWY PAŃSTWA

POWSZECHNE dążenie stronnictw i szerokich rzesz Polaków na uchodźstwie do zbudowania jednego ośrodka polityki polskiej zostało zrealizowane w Akcie Zjednoczenia z dnia 14 marca 1954 r. Twórcom tego aktu przyświecała przez cały czas żmudnych rokowań jedna naczelna myśl przewodnia. Była nią wola stworzenia o ile możności najlepszego i najskuteczniejszego narzędzia w walce o odbudowę niepodległego państwa, o zapewnienie mu właściwych granic oraz warunków bezpieczeństwa i wszechstronnego rozwoju po wyzwoleniu. W tym ujęciu jedność narodowa, oparta o żywe siły moralne i polityczne narodu w kraju i na emigracji, jest systemem, który z jednej strony pozwala przemawiać autorytatywnie imieniem Polski na gruncie międzynarodowym, a z drugiej pozwala przeprowadzić pełną mobilizację energii polskiej dziś rozproszonej i nieskoordynowanej na rzecz nadrzędnych celów — ogólnonarodowych. Akt nie pozostawia żadnej wątpliwości co do tego, że chodzi nie o jedność dla samej jedności, ale o rzecz wiele ważniejszą, o nasze narodowe „być czy nie być".

Drugim narzędziem naszego działania na uchodźstwie jest legalizm oparty o nieprzerwaną ciągłość państwa polskiego, uratowaną przed zakusami wrogów w okresie Teheranu i Jałty i utrzymaną pomimo uznania przez mocarstwa zachodnie rządów komunistycznych w Polsce. Od szeregu lat jednak instytucje legalne zamiast służyć naczelnym interesom narodu stały się terenem konfliktów wewnętrznych i ambicji personalnych. Zamiast być narzędziem w walce o niepodległość stały się celem samym dla siebie. Choroba tocząca je od głowy sprowadzała powoli uwiąd na cały aparat państwowy, paraliżując jego działania i zatruwając polskie życie polityczne i społeczne.

Akt Zjednoczenia budując zwarty i mocny system jedności narodowej zmierzał jednocześnie do wzmocnienia instytucji legalnych, dając im oparcie o szeroką bazę polityczną i społeczną. Dzieło zjednoczenia właśnie przez to, że otwiera okres zgodnych wysiłków i jednolitych działań polskich zyskało powszechne poparcie społeczeństwa na uchodźstwie oraz starej Polonii.

Tymczasem ze strony głowy państwa, skąd nie powinno spodziewać się przeszkód jeśli chodzi o włączenie systemu jedności narodowej w ramy instytucji legalnych, nastąpiły posunięcia, których nie można rozumieć inaczej niż jako dążenie do zniweczenia osiągniętej jedności.

Przebieg ostatnich wydarzeń wykazuje ponad wszelką wątpliwość i tak jasno, jak nigdy przedtem, odpowiedzialność prez. Zaleskiego za wytworzoną sytuację, grożącą unicestwieniem legalnych instytucji. Nie tę odpowiedzialność „przed Bogiem i historią", na którą lubi się powoływać, ale tę zwykłą, przed narodem polskim.

Zaprosiwszy do Londynu gen. Sosnkowskiego, prez. Zaleski zwrócił się do niego 22 grudnia 1952 r. o przyjęcie następstwa na urzędzie Prezydenta R.P. Jednocześnie za pośrednictwem ówczesnego premiera i zgodnie z umową paryską przeprowadził konsultację stronnictw w sprawie wysuniętej przez siebie kandydatury na następcę.

29 grudnia 1952 r. gen. Sosnkowski wygłosił przemówienie u Inwalidów w Londynie, formułując swe stanowisko, mianowicie, że przyjmie następstwo o ile wszystkie stronnictwa opowiedzą się za jego kandydaturą w zarządzonej konsultacji i że zwróci się o ogłoszenie nominacji, gdy zostanie osiągnięte zjednoczenie polityczne. Jednocześnie postawił zasadę demokratyzacji ustroju państwowego:

„Myślę — powiedział — o tak zwanej umowie paryskiej, której podstawą

stała się deklaracja Prezydenta R.P. z dnia 30 listopada 1939 r. i przyjęta przez niego jej uzupełniająca wykładnia z 22 października 1940 r. Umowa ta zapewnia demokratyzację naszego życia politycznego na obczyźnie. Zdejmuje ona brzemię wyłącznej odpowiedzialności z głowy jednostki piastującej urząd Prezydenta R.P. i pociąga do współodpowiedzialności premiera, rząd i namiastkę parlamentu.“ I dalej: „Premier i rząd powinni być odpowiedzialni przed Radą Jedności Narodowej, której uchwały w sprawie ustąpienia rządu byłyby miarodajne“.

Te zasady, sformułowane 29 grudnia 1952 r., nie przeszkodziły wcale prez. Zaleskiemu w zaofiarowaniu gen. Sosnkowskiemu bezzwłocznego objęcia następstwa 7 stycznia 1953 r. Te same jednak zasady, wprowadzone do aktów zjednoczenia, okazały się obecnie podstawą do wytoczenia argumentu ich rzekomej niezgodności z konstytucją, i posłużyły jako powód nie mianowania gen. Sosnkowskiego następcą.

I to jest sedno rzeczy. Przez cały czas trwania rokowań o zjednoczenie prez. Zaleski na zewnątrz twierdził, że pragnie jedności narodowej i że chce widzieć na urzędzie prezydenta jako swego następcę gen. Sosnkowskiego. Jednocześnie przez cały ten czas był przekonany, że nie dojdzie do podpisania Aktu Zjednoczenia. Że na jakimś etapie wywrócą się rozmowy między stronnictwami, bądź że gen. Sosnkowski popełni gdzieś jakiś błąd.

Nie podobna wyliczyć wszystkich dowodów na potwierdzenie tej tezy. Wystarczy wymienić główne.

Na przyjęciu noworocznym w jego siedzibie 4 stycznia 1953 r. prez. Zaleski mówił o gen. Sosnkowskim w słowach najwyższego uznania:

„Od chwili objęcia przeze mnie urzędu Prezydenta nie szczędziłem starań, by doprowadzić do jedności narodowej. Toteż z zadowoleniem powitałem inicjatywę p. gen. Sosnkowskiego podjęcia jeszcze jednej próby w tym celu na zupełnie nowych zasadach. Drugą moją troską dotyczącą mnie bezpośrednio była sprawa wyznaczenia konstytucyjnego Następcy Prezydenta Rzeczypospolitej. Przy pobieraniu tej decyzji chciałem mieć opinie wszystkich stronnictw politycznych. Do tej pory osiągnięcie tego okazywało się niemożliwe. Ponosząc osobistą przede wszystkim odpowiedzialność za wykonanie tego obowiązku konstytucyjnego postanowiłem raz jeszcze spróbować konsultować stronnictwa polityczne. Powziąłem zamiar wyznaczenia na mego następcę generała Kazimierza Sosnkowskiego ze względu na jego zasługi, na jego przekonania niepodległościowo-państwowe, które wyznawał przez całe życie i na jego twarde przeświadczenie o nienaruszalności obowiązującej Ustawy Konstytucyjnej. Wobec tego prosiłem p Premiera o zasięgnięcie opinii stronnictw i ugrupowań politycznych. Ufam, że konsultacje te dadzą wynik jednomyślny, którego żąda dla siebie p. Generał“.

W zacytowanym ustępie prez. Zaleski stwierdził, że „nie szczędził starań, by doprowadzić do jedności“. Użyte słownictwo („jeszcze jedna próba“, „postanowiłem raz jeszcze“) miało na celu wskazanie palcem na innych, na stronnictwa ponoszące jakoby winę za rozbicie. Dziś wiemy, że gdy stronnictwa Akt Zjednoczenia podpisały, prez. Zaleski go odrzuca.

4 stycznia 1953 r., gdy przemówienie swe wygłaszał, prez. Zaleski sam stwierdził, że gen. Sosnkowski zażądał dla swojej kandydatury aprobaty wszystkich stronnictw. Trzy dni zaś później, 7 stycznia 1953 r., namawiał gen. Sosnkowskiego do przyjęcia następstwa zaraz, choć nieznana była jeszcze odpowiedź jednego stronnictwa (odpowiedź PPS dana była 8 stycznia) i choć wiadome mu było, że gen. Sosnkowski pragnie ogłoszenia swej nominacji dopiero po osiągnięciu jedności. Czyżby chodziło o wciągnięcie gen. Sosnkowskiego w pułapkę: by uczynił krok sprzeczny z publicznie stwierdzonym swym stanowiskiem? Tego żaden człowiek z poczuciem godności nie uczyni. Nie uczynił tego gen. Sosnkowski.

Przed pierwszą fazą rozmów w sprawie zjednoczenia między stronnictwami, a za drugim pobytem w Londynie gen. Sosnkowskiego, przyszło znane oświadczenie z 16 maja ub. r., w którym prez. Zaleski ustalił koniec swojej kadencji na 9 czerwca 1954 r. Można się było spodziewać, że ta deklaracja przyspieszy tok rokowań w sprawie zjednoczenia. Istotnie przez jakiś czas grupy manewrowe biorące natchnienie i instrukcje z tzw. zamku, przycichły i rozmowy w ciągu lipca ub. r. pod przewodnictwem gen. Sosnkowskiego dały w rezultacie uzgodnioną większą i główną część Aktu Zjednoczenia.

Zaledwie jednak wyjechał gen. Sosnkowski, powstały nowe trudności z tzw. parafą, której odmawiały ustawione znowu do ataku grupy manewrowe tzw. zamku oraz zaczęła się rozżarzona do białości demagogia w sprawie punktu 5, czyli jałtańczyków. Jedyny jej dziś paradoksalny skutek to popieranie i pochwała negatywnego stanowiska prez. Zaleskiego wobec Aktu Zjednoczenia przez dwa mikołajczykowskie pisma, mianowicie „Narodowiec“ we Francji i „Jutro Polski“ w Londynie.

Dalszym krokiem skierowanym przeciw zjednoczeniu, było przesilenie rządowe. Wywołał je prez. Zaleski w przeddzień trzeciego z kolei przyjazdu gen. Sosnkowskiego do Londynu i tuż przed ostatnią fazą rokowań. Powołany wówczas rząd p. Hryniewskiego rozleciał się trzy tygodnie temu i do dnia dzisiejszego nie ma rządu w ogó-

le. Jest to chyba dno upadku, do jakiego zepchnięte zostały instytucje państwowe, wykorzystywane nie dla dobra narodu, lecz dla walki z powszechną i jednomyślną wolą całej emigracji, wolą służenia sprawie Polski w jedności i w oparciu o Akt Zjednoczenia.

Trudności stawiane w toku rokowań przeciw zjednoczeniu, bledną w porównaniu z serią nieprawdopodobnych, niedorzecznych i wzajemnie z sobą sprzecznych argumentów, wysuwanych po podpisaniu przez stronnictwa Aktu Zjednoczenia.

Nazajutrz po doręczeniu Aktu Zjednoczenia przez gen. Sosnkowskiego kancelaria cywilna wydała komunikat stwierdzający, że prez. Zaleski zwrócił się do rządu o wyjaśnienie dwóch spraw: 1) stanowiska grup, które aktu jeszcze nie podpisały oraz 2) terminu wejścia w życie. W komunikacie przemilczano główne zagadnienie następstwa na urzędzie Prezydenta R.P.

Nastąpiło 9-dniowe milczenie, po czym 24 marca wydano komunikat rządu. Zacytowano w nim oświadczenie prez. Zaleskiego przypominające, że to on wysunął kandydaturę gen. Sosnkowskiego na następcę i stwierdzono, że prez. Zaleski „stoi nadal na tym stanowisku", tj. nominacji gen. Sosnkowskiego.

Jak z tego widać, przez 10 dni od momentu podpisania Aktu Zjednoczenia nie było żadnych wątpliwości co do jego zgodności z konstytucją. Pojawiły się one dopiero 9 maja, czyli po upływie dwóch miesięcy.

Co gorzej, w tymże oświadczeniu z 24 marca przytoczono oświadczenie prez. Zaleskiego że „postępująca realizacja zjednoczenia umożliwi mu dokonanie tego aktu państwowego", tj. wyznaczenia gen. Sosnkowskiego. Jednocześnie półoficjalny komentarz opublikowany w prasie dodawał, że prez. Zaleskiemu zależy na tym, by on podpisał dekrety o Radzie Jedności Narodowej.

W otoczeniu prez. Zaleskiego z góry ubolewano, że stronnictwa nie zgodzą się na podpisanie przez niego dekretów o Radzie Jedności Narodowej. Tymczasem Komisja Porozumiewawcza stronnictw nie sprzeciwiła się propozycji rządu p. Hryniewskiego, aby podpisane zostały najpierw dekrety o powołaniu Rady Jedności Narodowej i żeby wraz z aktem nominacji gen. Sosnkowskiego ogłosić je w tym samym numerze „Dziennika Ustaw R.P.".

Wówczas ukazały się komunikaty oficjalne pełne sprzeczności, jakby pisane w pośpiechu. I tak komunikat rządu z 7 maja donoszący o uchwaleniu dekretów o Radzie Jedności Narodowej i przedłożeniu ich prez. Zaleskiemu do podpisu, wspomina o wadliwościach jakie zdaniem rządu znalazły się w Akcie Zjednoczenia. Do tych rzekomych wadliwości zdaniem rządu należą niewłaściwe rozwiązanie sprawy wyborów, podział mandatów w Radzie Jedności Narodowej oraz sformułowanie dotyczące uprawnień Prezydenta, dające jakoby możność wadliwej interpretacji. Wszystkie zastrzeżenia odnoszą się do Aktu Zjednoczenia, czyli porozumienia między stronnictwami, nie do dekretów. Oczywiście ani sprawa wyborów, ani podział mandatów nie mają nic wspólnego z zagadnieniem zgodności czy niezgodności z konstytucją. Wyborów nie było na emigracji przez 15 lat i nikt z tego powodu nie twierdził, że konstytucja jest łamana. Podział zaś mandatów jest zagadnieniem politycznym i należy do stronnictw, nie do rządu. Wreszcie artykuły w Akcie Zjednoczenia o wykonywaniu prerogatyw konstytucyjnych Prezydenta R.P. są niczym więcej jak powtórzeniem umowy paryskiej, na którą tylekroć powoływał się sam prez. Zaleski. Ale, powtarzamy, te wątpliwości rząd miał w odniesieniu do Aktu Zjednoczenia, nie do dekretów, które uchwalił i przedłożył do podpisania. Tymczasem komunikat kancelarii cywilnej prez. Zaleskiego z 9 maja nieściśle stwierdza, iż rząd w uchwalonych projektach dekretów dopatruje się „formuły dającej możność wadliwej interpretacji". Na tej podstawie prez. Zaleski oświadczył, iż nie może podpisać dekretów, przy czym nie podany jest ani jeden konkretny przepis tych dekretów, choćby dla przykładu, który by wskazywał sprzeczność z konstytucją. Natomiast jest powołanie się na... przysięgę.

Doniesienia prasowe ostatnich dni, oparte jak się zdaje na autentycznych informacjach, twierdzą, że prez. Zaleski odstąpił od zamiaru wyznaczenia swym następcą gen. Sosnkowskiego. Powody podane dla uzasadnienia tego stanowiska należą do tak osobliwej klasy, że nie warto się nimi zajmować. Są one podobne, bądź identyczne, do wywodów anonimowych broszur. Cechą ich wspólną jest powoływanie się na sumienie. Sumienia bywają rozmaite...

Niezależnie od wstrząsów na jakie w najbliższych dniach narażone być mogą formalne instytucje legalne, trwałymi czynnikami są i pozostaną osiągnięta jedność narodowa, jednomyślnie poparta przez stronnictwa kandydatura gen. Sosnkowskiego na Prezydenta R.P. oraz powszechny i głęboko patriotyczny odzew całego społeczeństwa polskiego na uchodźstwie domagającego się przywrócenia praworządności i prymatu interesów narodu. Temu prądowi żadna jednostka przeciwstawić się nie zdoła.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

GDY MOWĄ O WIETNAMIE

WYDARZENIA w Azji wschodniej, a ostatnio w Indochinach rozwijają się dla Zachodu niepomyślnie. Porażki wojsk dowodzonych przez Francuzów nie byłyby tak groźne, gdyby były tylko niepowodzeniami wojskowymi. Są one jednak równocześnie wykładnikiem zasadniczego niepowodzenia politycznego. Ludność Wietnamu, przynajmniej jej najaktywniejsza część jest w większości po stronie Wietminu. W oczach tej ludności słuszność reprezentują wojska generała Giapa nie zaś wojska generała Navarre'a.

Po jednej stronie walczy armia dowodzona przez Francuzów, złożona z oddziałów wietnamickich, francuskich afrykańskich i Legii Cudzoziemskiej, w której przeważają Niemcy, po drugiej armia dowodzona przez wyrosłych w wojnie partyzanckiej dowódców i złożona wyłącznie z Wietnamitów. Większe oddziały wietnamskie z armii francuskiej dezerterowały w całości w ostatnim roku na stronę Wietminu.

Ten kolonialny charakter wojny indochińskiej wpływa na nieprzyjazny do niej stosunek niepodległych państw azjatyckich, w pierwszym rzędzie Indii. Wpływa on także na stanowisko Anglii, która uważa, że linię bezwzględnego oporu przeciwko postępom komunizmu w Azji należy ustawić na zewnątrz Wietnamu. (Oczywiście Anglia ma mniej obiektywny stosunek gdy chodzi o Malaje i nie żywi najmniejszej wątpliwości, że Półwysep Malajski powinien znajdować się na

wewnątrz linii bezwzględnego oporu, ale to jest inna sprawa.)

Gdyby przeprowadzić uczciwy plebiscyt w Korei, niewątpliwie większość opowiedziałaby się za południową republiką Syngmana Rhee; gdyby przeprowadzić uczciwy plebiscyt w Wietnamie, większość mogłaby opowiedzieć się za Wietminem. Dlaczego?

Przede wszystkim dlatego, że Korea była przed wojną kolonią japońską, Indochiny natomiast francuską. Wojsko amerykańskie nie było w Korei armią najeźdźcy, lecz armią wyswobodziciela. Francuzi mogą walczyć bohatersko, ale Indochińczycy uważają, że walczą oni za swoją sprawę, nie za wspólną. Niebezpieczeństwo komunizmu, nawet dla tych Indochińczyków, którzy je rozumieją, nie jest niebezpieczeństwem obcego panowania. Niespotykana w Europie rozpiętość poziomu życia między bytowaniem mieszkańca dżungli czy kulisa, a miejscowego bogacza stwarza podłoże dla powodzenia ruchu głoszącego przewrót społeczny, tworzącego w walce koleżeństwo kulisa, studenta i mieszczanina. Materializm ani okrucieństwo metod nie razi w kraju, gdzie pojęcie osobowego Boga jest nieznane i etyka chrześcijańska nie była stosowana.

Rozmawiałem przed kilku laty z młodym działaczem katolickim z Wietnamu. Martwił się nieuniknionym, jego zdaniem, powodzeniem komunistów, ale nie widział wyjścia. Dopóki dowodzą Francuzi, mówił, nie możemy być po ich stronie. A jeżeli się wycofają, nie będzie czasu na zorganizowanie rządu i wojska narodowego. Skończyłem szkołę średnią w Indochinach — opowiadał w formie komentarza. Nauczyli mnie wszystkich departamentów i rzek we Francji, nie nauczyli którędy płynie Mekong. Nauczyli mnie po łacinie i grecku, nie nauczyli po chińsku... Obecny przy rozmowie Francuz wtrącił w tym miejscu: Ale Francja tyle zrobiła dla Indochin, dla podniesienia oświaty, rozwoju gospodarczego, bezpieczeństwa i panowania prawa. Indochińczyk milczał, Francuz był wyraźnie dotknięty tą niewdzięcznością. Z tym się pan musi pogodzić — pocieszyłem go — narody okupowane nigdy nie są wdzięczne swoim okupantom.

Problem Wietnamu to w miniaturze problem stosunków europejsko-azjatyckich. Europejczycy nie przyszli do Azji jak do Afryki, Ameryki czy Australii na kontynent gdzie nie było cywilizacji wyższej niż plemienna. Przyszli do ludów starej cywilizacji o silnym, choć odmiennym od europejskiego, poczuciu narodowym. Cywilizacje te przeżywały okres osłabienia czy rozkładu. Europejczycy górowali nad nimi nieskończenie w dwóch dziedzinach: techniki i organizacji. Narzucili im swoją władzę siłą z małym dla siebie kosztem. Czasy to przecież niedawne, czasy naszego pokolenia, gdy w Indiach tubylczy policjant salutować musiał każdemu białemu, gdy na ziemi chińskiej w koncesjach europejskich Szanghaju Chińczycy jeździć musieli osobnymi wagonami tramwajowymi. Przywykłe do przyjmowania siły za wystarczający tytuł władzy ludy Dalekiego Wschodu dopóty znosiły panowanie obcych, dopóki nie zwątpiły w bezwzględną wyższość ich siły.

Przewrót zaczął się z chwilą pokonania Rosji przez Japonię, która przyjęła europejską technikę i organizację. Dokonał się, gdy Japończycy wyrzucili białych z Azji w czasie ostatniej wojny. Chińczycy nienawidzili okupanta japońskiego, tak jak Polacy nienawidzili okupanta niemieckiego. Ale nie zmienia to w niczym faktu, że ten okupant zmusił białych do „stracenia twarzy". Anglicy, Francuzi, Holendrzy pokonani w walce i poddani poniżeniom, przestali być uważani za panów na Malajach, w Burmie, Indochinach, Indonezji, na Filipinach. Anglicy i Amerykanie wyciągnęli stąd wnioski. Woleli zachować korzyści gospodarcze kosztem rezygnacji z panowania. Dali niepodległość Indiom, Pakistanowi, Cejlonowi, Burmie, Filipinom. Prawda, że przyszło im to łatwiej ponieważ byli zwycięzcami w wojnie światowej. Francja była w tej wojnie pokonana i dlatego chciała czepiać się pozorów zwycięstwa.

W Indochinach Francuzi skapitulowali przed Japończykami, administrowali krajem w ich imieniu i pod ich kontrolą, oddali Syjamowi część Kambodży i Laosu. Bao Dai, dzisiejszy szef rządu profrancuskiego Wietnamu to kolaborant japoński. W chwili końca wojny wszyscy Wietnamici od komunistów poprzez biskupów katolickich do Bao Daia stworzyli rząd i temu rządowi Francja nie chciała dać niepodległości.

W Europie w ciągu wieków nowożytnych wytworzyło się pojęcie państwa narodowego. Choć pojęcie to odrzucono w traktacie wiedeńskim, ponieśli je w świat kolonizatorzy angielscy, francuscy, holenderscy w ubiegłym stuleciu. Ludy azjatyckie przyjęły nie tylko technikę i organizację europejską, ale także europejskie pojęcie państwa narodowego. Pierwsza Japonia, gdzie warunki były po temu najsposobniejsze i gdzie obalenie feudalizmu na rzecz centralnej władzy królewskiej było powtórzeniem tego, co stało się w Europie zachodniej trzysta lat wcześniej. Gdy traktat wersalski uświęcił zasadę państw narodowych w Europie, Azjaci, w pierwszym rzędzie Hindusi, zaczęli stanowczo domagać się swoich państw narodowych nawet tam, gdzie przed przybyciem Europejczyków nie było jednego narodu.

Wiedząc o tym, że los naszej ojczyzny zależy od światowej rozgrywki z komunizmem, skłonni jesteśmy nasze uczucia przypisywać innym, zamiast postawić się w ich położenie. Dla Wietnamity może być rzeczą obojętną, że komunizm zagraża Francji lub chrześcijaństwu. Może on nie obawiać się komunizmu, natomiast obawiać się Chin jako Chin, które niegdyś panowały nad jego ojczyzną. Nawet nie niegdyś, tylko sto lat temu. Epizod europejski trwał w Azji zaledwie dwa wieki, w Indochinach wiek. Jest to jak na azjatycką miarę historyczną okres bardzo krótki, ale płodny. Przyniósł z sobą państwo narodowe i przewrót społeczny.

Druga wojna światowa zakończyła się najbardziej reakcyjną umową między zwycięzcami: układem o podział świata na sfery wpływów w Jałcie. Podział taki możliwy do utrzymania przez dłuższy okres przed paru wiekami, w naszych czasach trwać nie może. Nie z powodu bomby atomowej ani tzw. skurczenia się świata, tj. rozwoju techniki komunikacyjnej, ale z powodu rozwoju świadomości narodowej. Sowiety to zrozumiały, Anglosasi nie. Sowiety od razu zaczęły pracować nad obaleniem umowy przez wykorzystanie dla swoich celów tej wielkiej siły, jaką są dążenia narodowe w krajach kolonialnych.

Zachód nie przyjął żadnej jednolitej polityki, stracił twarz w Europie i Azji. Poświęcając niepodległość narodów europejskich nie mógł ani wygrać propagandowo, ani konsekwentnie przeprowadzić dania niepodległości narodom azjatyckim. Do symbolu urasta drobny fakt, że zamiast by w Wietnamie pojawili się wolni Polacy dla tłumaczenia roli komunizmu sowieckiego, pojawili się tam z drugiej strony frontu literaci polscy przysłani przez komunistów.

Jeśli świat zachodni ma oprzeć się zwycięsko Sowietom, to musi mieć nie tylko wspólną strategię i uzgodnioną dyplomację, ale przede wszystkim wspólne zasady jakim ta strategia i dyplomacja ma służyć. Zasady stosowane w praktyce, a nie deklaracje przedwyborcze. Jedną z najważniejszych zasad, która zjednoczyć może wszystkich, jest zasada niepodległości narodowej. Jej stosowanie w praktyce oznacza likwidację systemu kolonialnego tam wszędzie gdzie istnieją na-

rody. Pełne zastosowanie tej zasady nie jest łatwe: dotyczy ona Indochin, lecz także Cypru i Gibraltaru, Maroka i Portorico. Z drugiej strony wymagałaby ona wyraźnego przekreślenia Jałty, uznania rządów emigracyjnych tak jak Sowiety uznają rząd Wietminu i ogłoszenia za wspólny cel narodów wolnego świata zniszczenie sowieckiego systemu kolonialnego w Europie i odbudowanie niepodległych państw narodowych na wschód od żelaznej kurtyny. Jeżeli ma powstać w przyszłości ponadnarodowa struktura w Europie czy w świecie, to powstać musi na zasadzie dobrowolnego łączenia się państw narodowych.

Podmiotem dziejów w naszej epoce jest naród. Główną lojalnością współczesnego człowieka jest lojalność narodowa. W naszych czasach to przeniesienie naczelnej lojalności z władcy czy kasty na naród dokonało się także na dużych połaciach Azji. Uznajmy to i pogódźmy się z myślą, że kolorowi mają takie same prawo do decydowania o własnym losie jak biali. A z tym większą słusznością walczyć będziemy o zastosowanie w praktyce ohydnie pogwałconej zasady, że my mamy takie same prawo do decydowania o własnym losie jak Amerykanie czy Anglicy.

W OGRODZIE BALZACA KWITNĄ BZY

DWUNASTORAMIENNA rozgwiazda placu, z którego nad Paryżem króluje napoleoński Łuk Triumfalny, wybiegła ku wschodowi aleją, zwaną avenue de Friedland. Przeszedłszy nią kilkaset kroków, staniesz na małym placyku, gdzie w r. 1900, w pięćdziesiątą rocznicę śmierci Balzaca, wzniesiono mu kamienny pomnik, dzieło rzeźbiarza Aleksandra Falguière.

Niezbyt wysoki cokół i — Honoré Balzac siedzi oto, zadumany wciąż nad „komedią ludzką", siedzi na zwykłej ławce, wyniesionej jakby z sąsiedniego ogrodu. I oto ogród-skwerek, dziś publiczny, choć mało znany przechodniom, bo skryty za wysokimi bardzo murami, w trójkącie ulic Balzac, Berryer i Friedland. Tablica na murze głosi, że wielki pisarz zmarł w domu, jaki tu stał w tym czasie, przed 104 laty.

Zaciszny skwerek trwa w cieniu wyniosłych, odwiecznych kasztanów, które dzisiejszą późną wiosną rozkwitły właśnie biało i różowo, a popod murami, wśród trawników, zwyczajnie kwitną i jakby zdziczałe już trochę i jakby polskie bzy. W tym więc zaciszu, choć w centrum dziś wspaniałych magnackich rezydencji stolicy, żył, pisał i umarł wielki Francuz, tak bez pamięci zakochany w chimerycznej „niewdzięcznicy", w polskiej cudzoziemce.

W ogrodzie frontem do ul. Berryer, stoi pałacyk Salomona Rotszylda, mieszczący fundację Domu Artystów. Tu właśnie w r. 1932, podczas dobroczynnego kiermaszu książek, dedykowanych przez autorów, rosyjski emigrant Gorgułow zastrzelił prezydenta republiki Paul Doumera, w niespełna rok po wyborze.

W pałacu Rotszylda, przez kwiecień ubiegły i do 3 maja otwarta była wystawa książki dawnej i współczesnej pod nazwą „Cywilizacja książki — bogactwa księgarni francuskiej od jej początków do chwili obecnej". Wystawa naprawdę olśniewająca. Widziałem już w Paryżu wiele wspaniałych wystaw książek. Żeby wymienić tylko wystawy w Bibliotece Narodowej, np. z r. 1947 i jej piękny katalog (podobny do katalogu z r. 1929), wystawę w galerii przy ul. Royale i tę sprzed 3 lat w księgarni André Raval, gdzie w ciągu trzech dni ukazano publiczności, przed sprzedażą na licytacji, a zgodnie z wolą testatora, bibliofila amerykańskiego Wilmerdinga, jego bajeczny księgozbiór.

Obecną, najwspanialszą z dotychczasowych, wystawę w ogrodzie Balzaca zorganizowało 77 księgarzy, głównie paryskich, oraz 9 artystycznych zakładów introligatorskich. Protektorat objęli: prezydent René Coty, honorowy przewodniczący Zgromadzenia Narodowego Herriot, ministrowie spraw zagranicznych Bidault, przemysłu i handlu Louvel, poczt i telegrafów Ferri oraz sztuk pięknych Cornu, poza tym w skład komitetu honorowego wchodziło pięciu członków Akademii Francuskiej Georges Duhamel, Maurice Garcon, Emile Henriot, André Maurois i Henri Mondor, prezesi związków literackich, międzynarodowej Ligi Antykwariuszy i związków księgarzy z 12 państw europejskich i Ameryki.

Wchodzę do wnętrza. Sześć sal pałacowych. Pod ścianami wysokie szafy z ceramiką i starą porcelaną. Na ścianach rysunki znanych ilustratorów książek. Wszędzie porozstawiane oszklone gabloty i serwantki, a w nich istne skarby bibliofilskich wydawnictw i rękopisów.

Poczynając od fragmentu papirusu z VI w. (pierwsze słowa po grecku, reszta w języku koptyjskim), poprzez iluminowane rękopiśmienne księgi, np. „Żywot św. Antoniego" (manuskrypt z XV w.) i inkunabuły, te najstarsze druki od wynalazku Gutenberga z r. 1448 do r. 1500, jak list Krzysztofa Kolumba o odkryciu Ameryki w postaci książki z rycinami, wydanej w Bazylei w r. 1494 pt. „De Insulis nuper in mari Indico repertis", na rycinie tytułowej napis „Insula Hyspana", albo jedyne istniejące wydanie Bergomensis „De plurimis claris sceletisque mulieribus", Ferrara 1497, najpiękniejszy inkunabuł renesansu włoskiego, podziwiam jedyny znany egzemplarz almanachu, ogłoszonego przez Seraphino Calbarsy (anagram mistrza François Rabelais) pt. „La grande et vraie pronostication pour l'an 1544" lub Kwintusa Kurcjusza „Jerozolimę" (1771) z własnoręcznymi marginesowymi uwagami Racine'a. Dalej Fenelona „Traktat o istnieniu Boga" (1762), oprawny w safian z herbem Marii Antoniny i szereg manuskryptów, np. list Napoleona I do króla angielskiego Jerzego III z lutego 1800 r., zaczynający się od słów: „Jerzy! chcesz wojny, my ci ją damy!" i z końcową pointą: „Biada zwyciężonym", list ten zresztą nie był wysłany i został znaleziony w papierach Lucjana Bonaparte, poza tym listy Pasteura o wściekliźnie, rękopisy Beaudelaire'a, akwaforty Goyi w wydaniu książkowym itd.

Jako polonica można wymienić oprawę książki z XVI w., należącej do Henryka III (Walezego), safian usiany liliami burbońskimi i pośrodku potrójny herb Francji, Polski i Litwy, jak również szereg białych kruków, oryginalnych wydawnictw Guillaume Apollinaire'a (Kostrowickiego), np, pierwsze wydanie (1913) „Alcools" z poprawkami ręką poety, egzemplarz dedykowany był Elemirowi Bourges, a następnie przez Pabla Picasso darowany Pawłowi Eluardowi, lub tegoż Apollinaire'a „Aux armées de la Republique", pierwsze wydanie, odbite w 25 egzemplarzach i ręcznie numerowane dnia 17.VI.1915 — na froncie, w 45 bat. 38 p. art.

A teraz jeszcze parę słów o książce, która w moim pojęciu była „gwoździem" wystawy. Obok wyżej wspomnianego listu Napoleona, w oszklonej szafie księgarni Marka Loliée, maleńka, mikroskopijna wprost książeczka, powiedzielibyśmy dziś wydanie kieszonkowe, in 12°, rozmiary 12×7 cm, oprawna w ciemnoróżawą skórę, zamknięta na dwie cyzelowane klamerki, okładki jakby grawerowane w przeplatające się arabeski srebrnozłote, dziś o różowawym odcieniu. To „Epigramy" Marcjalisa, Amsterdam 1629, oryginalny Elzewir. Ponieważ Marcjalis, nieco frywolny poeta łaciński z I wieku po Chrystusie, urodził się — tak jak piętnaście z górą wieków później „mój" Baltazar Gracjan — w hiszpańskim miasteczku Bilbilis, ryzykuję zapytać w sekretariacie o cenę. Bagatela! 95.000 franków. Ale, okazuje się, gust mi dopisał. Jak prze-

konałem się następnie, „Figaro Litteraire“ w obszernej recenzji pt. „Relikwie, których ceną — fortuny“ wśród trzech książek, najbardziej na wystawie godnych widzenia, wymienił właśnie „Epigramy“.

Na specjalną uwagę zasługuje piękny katalog wystawy. Istne cacko bibliofilskie. Druk na welinie, a dołączone 27 reprodukcji na kredowym papierze. Słowo wstępne dyrektora Biblioteki Narodowej, członka Instytutu, Juliana Caina. Potem zwięzła rozprawka o technice odbijania sztychów: drzeworytów, miedziorytów, akwafort, akwatint i litografii. Wreszcie opisy eksponatów poszczególnych księgarzy i introligatorów, przeplecione szeregiem cytat znakomitych pisarzy pod ogólnym tytułem „Zamiłowanie do książek na przestrzeni wieków“. I co za nazwiska! Niesposób wyliczyć wszystkich pięćdziesięciu dwóch, poczynając od cesarza Juliana i Petrarki do Paul Eluarda i Paul Valery‘ego. Wystarczy wymienić: Machiawela, Montaigne‘a, Bacona, Kartezjusza, panią de Sévigné, Monteskiusza, Diderota, Woltera, Balzaca, George Sand, Micheleta, Anatola France‘a, Mallarmégo i Edwarda Herriota. Wszyscy, okazuje się, byli biliofilami, wszyscy kochają książki.

W anonimowym wstępie do wydanego w Chartres w r. 1869 katalogu biblioteki Gastona Bruneta powiedziano, że „ci, którzy wyśmiewają bibliofilów, to nieszczęśliwcy, co nie potrafią doszukać się żadnego zapachu w margerytce; ich zmysł powonienia pozbawiony jest wyobraźni. W margerytce jest przecież cały zapach łąk, w rosie skąpanych; w jej płatkach zostaje zawsze coś z zapachu nocy i coś ze słońca; dlatego właśnie, że przeciążona zapachami, pochyla nieco głowę...“.

Wychodzę, oczarowany, z wystawy. W ogrodzie Balzaca, w cieniu kwitnących kasztanów, rozsnuwa się ledwo uchwytny zapach jakby polskiego bzu.

Bohdan Gajewicz

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

POWRÓT NIEMIEC

Norbert Muhlen: THE RETURN OF GERMANY. A Tale of Two Countries. The Bodley Head. Londyn 1953. Stron 310.

Jest to wydanie angielskie książki amerykańskiej. Nie ulega wątpliwości, że Ameryka interesuje się Niemcami i przeznacza im ważną rolę w swojej strategii antysowieckiej. Z drugiej strony w wielu kołach byłych przeciwników Niemiec ich powrót do wolności, równowagi i potęgi, który odbywa się wcale szybko, budzi obawy i wątpliwości. Liczy się z tym i autor książki, który przypomina w przedmowie, że przecież jeszcze tak niedawno Niemcom niemal że się udało zniszczyć Europę i zagrozić na długie lata życiu, wolności i dążeniu do szczęścia Ameryki. Przypuszczenia, że Niemcy nie zdołają się szybko podźwignąć z tej nieprawdopodobnej klęski, w jaką je wtrąciła „genialna“ i obliczona na tysiąclecia polityka Hitlera, okazały się mylne. „Olbrzym znowu się rusza“ — tymi słowy Muhlen otwiera swą książkę. I przypomina, że tym olbrzymem są Niemcy, naród najliczniejszy w Europie zachodniej, kraj, którego zasoby węgla i żelaza są większe niż w jakimkolwiek innym kraju europejskim i który w zakresie inicjatywy, energii i usilnej pracy pozostawia za sobą wszystkie inne społeczeństwa europejskie. Autor notuje i podkreśla te obawy, jakie opinia amerykańska albo raczej część opinii amerykańskiej żywi wobec niedającego się zaprzeczyć objawu powrotu Niemiec do sił. Książka jego jednak zmierza do rozproszenia tych obaw. W końcowym rozdziale autor pisze, że nie jest możliwe związanie wolnych Niemiec z Zachodem, jeśli Zachód z Ameryką łącznie nie zwiąże się z wolnymi Niemcami.

Książka Muhlena, jak tyle innych książek amerykańskich, jest kopalnią bogatego materiału informacyjnego i spostrzeżeniowego, zestawionego i ułożonego dosyć kapryśnie i nie uporządkowanego systematycznie na smak europejski. Ma ona charakter raczej zbioru reportaży dziennikarskich na różne tematy ze znacznie szerszym uwzględnieniem strony socjologicznej i psychologicznej niż politycznej problemu niemieckiego.

Niemniej Muhlen ma ciekawe rzeczy do powiedzenia w dziedzinie czysto politycznej. Wykazuje on np. że SRP (Sozialistische Reichspartei), stronnictwo neohitlerowskie, na którego czele stoją albo raczej stali gen. Remer i Fritz Dorls (przy czym ten ostatni był właściwym spiritus movens ruchu), odrzuca antyrosyjską postawę Hitlera w polityce zagranicznej, całą zaś nienawiść kieruje przeciwko demokracjom zachodnim, a przede wszystkim Ameryce. Rosja Sowiecka natomiast przedstawiana jest w tych kołach jako zdrowy, dobry kraj, gdzie panuje nacjonal-socjalizm. Według Dorlsa złamanie paktu hitlerowsko-sowieckiego było największą katastrofą stulecia. Wypowiadając się za neutralnością niemiecką na wypadek nowej wojny, Dorls twierdzi, że Niemcy powinni przyjąć wkraczających Rosjan z otwartymi ramionami i liczy na zwycięstwo Sowietów, z którymi przyszłe nacjonal-socjalistyczne Niemcy dzieliłyby panowanie nad światem. Ruch neohitlerowski, którego polityczne znaczenie w Niemczech zachodnich jest na razie przynajmniej niewielkie (największy jego sukces był w wyborach w 1951 r. w Dolnej Saksonii — 11 pct głosów), jest — rzecz charakterystyczna — finansowany przez Sowiety, jeśli nie bezpośrednio, to pośrednio. Jeden z prezesów stronnictwa hr. Westarp otrzymał 32 tys. marek z biura partii komunistycznej w wschodnim Berlinie, a sam Dorls prosił o pomoc finansową płka Stanisława Dąbrowskiego w Łodzi według opublikowanej kopii telegramu Dorlsa. SRP rozwiązała się dobrowolnie, powstał jednak szereg innych organizacji, które usiłowały kontynuować tradycje hitlerowskie.

Bardzo trafnie autor charakteryzuje metody działania komunistów w Niemczech wschodnich i w innych krajach satelickich imperium sowieckiego. Oto „małe grupy ludzi opanowanych przez idee zła i mających w swych rękach skoncentrowaną potęgę wieku maszynowego zniewoliły niezorganizowaną masę niepolitycznego społeczeństwa i rządziły nim przy użyciu groźby totalnego zniszczenia“ (str. 93).

Ale przejdźmy do innych dziedzin. Fenomenalne rezultaty przynosi energia i pracowitość niemiecka. Gdy wojna się skończyła 54 do 60 procent budynków w Niemczech było całkowicie lub częściowo zniszczonych. W 1950 r. Niemcy zachodnie wzniosły siedem i pół izb mieszkalnych na tysiąc głów, gdy we Francji mniej niż dwie, a w Anglii mniej niż cztery izby były pobudowane. W ogóle między 1945 a 1952 r. Niemcy zachodnie wzniosły półtora miliona nowych izb mieszkalnych. O rozwoju gospodarczym autor ma niewiele do powiedzenia. Ciekawe są natomiast jego uwagi o opiece państwa nad ofiarami wojny i nad warstwami gospodarczo upośledzonymi, dalej ocena rozwoju siły społecznej i politycznej mas robotniczych i bardzo wnikliwe spostrzeżenia na temat coraz silniejszego uzależniania i skrępowania mas w sektorze sowieckim.

W końcowych uwagach autor porównuje eksperyment demokratyczny na Zachodzie z totalistycznym rozwiązaniem na Wschodzie i dochodzi do wniosku, że jeśli idzie o zamożność materialną, osobistą godność lub odrodzenie duchowe porównanie to zdecydowanie wypada na korzyść Zachodu. Dla Sowietów istnienie wolnych i prosperujących Niemiec jest nie do zniesienia; muszą więc one dążyć do ich wchłonięcia.

Książka Muhlena zawiera dużo ciekawego materiału o Niemczech współczesnych, o „dwóch krajach" niemieckich, jednak zastanawia przy tym, ile niezmiernie ważnych problemów zostało pominiętych czy przemilczanych. Autor np. prawie nic nie mówi o sprawie około 10 milionów uchodźców ze wschodu, zadowala się nakreśleniem — mimochodem — paru impresjonistycznych obrazków wskazujących na ich rzekomą nędzę. Nie wiadomo, czy fakt, iż nie porusza sprawy granicy wschodniej Niemiec na linii Odry — Nysy, należy tłumaczyć, iż sprawę uważa za mało ważną, czy też po prostu jest to luka jedna z wielu w obrazie Niemiec współczesnych, jakie dostrzegamy w ujęciu Muhlena.

Jako przyczynek do poznania problemu Niemiec powojennych, zwłaszcza psychiki młodego pokolenia niemieckiego, książka Muhlena może oddać pewną przysługę. Choć niezbyt zaakcentowana, istnieje jednak tendencja do wybielania Niemców, co nie ujdzie uwagi krytycznego czytelnika.

(m. ost.)

STANISŁAW STROŃSKI

Antoni Bogusławski, Władysław Folkierski, Marian Kukiel, Zbigniew Stypułkowski, Tymon Terlecki, Bolesław Wierzbiański: STANISŁAW STROŃSKI, w 50-lecie pracy pisarskiej. Oficyna Poetów i Malarzy. Na emigracji w Anglii 1954. Stron 114, dwie ilustracje, papier Chantry Toned Antique Laid. Cena 7s 6d.

Książka pamiątkowa zeszłorocznego jubileuszu pięćdziesięciolecia pracy pisarskiej Stanisława Strońskiego jest rzeczywiście miłą niespodzianką dla każdego, kto ją nabędzie. Treść jej stanowią przemówienia i referaty wygłoszone na zebraniu jubileuszowym w Instytucie Sikorskiego w grudniu 1952 r. Mamy więc w niej słowo wstępne Antoniego Bogusławskiego, wykład prof. Folkierskiego o Strońskim romaniście, referat Terleckiego o stylu Strońskiego, przemówienie Wierzbiańskiego o działalności dziennikarskiej Strońskiego, przemówienie Stypułkowskiego o Strońskim parlamentarzyście i wreszcie słowo końcowe samego Strońskiego. Wykład prof. Folkierskiego jest czymś więcej niż jubileuszowym hołdem. Ustala on pozycję Strońskiego w literaturze naukowej światowej, pozycję mało znaną Polakom, a niezmiernie trwałą. Stroński jest autorytetem i odkrywcą w dziedzinie literatury średniowiecznej prowansalskiej.

Ten zbiór jubileuszowy wydano po prostu pięknie. Skład ręcznie złożyli, złamali i tłoczyli Bednarczykowie w Tunbridge Wells. Druk jest dwubarwny z czerwoną paginacją i inicjałami. Rozmieszczenie druku na stronach, układ tekstu okładek, proporcja barwnego druku stanowią wzór estetyki graficznej. Rysunek Pawlikowskiej, portret prof. Strońskiego chwyta na gorąco charakter modelu. Wydaje się, że właśnie zdjął binokle i zabiera się do powiedzenia frywolnego dowcipu, który maskuje głębszą treść uwagi.

„Wyniosłem — mówi w swoim słowie zamykającym obchód jubilat — z tych lat nauki, a i z późniejszych, przekonanie, że człowieka wiedzie przez życie wielka Pani, której na imię Praca." W książce o Strońskim włożono sporo porządnej pracy, dlatego jest ładna.

MEKSYKANIE O PRZEŚLADOWANIACH W POLSCE

Meksyk ma bolesne doświadczenia z komunizmem i wie co to jest terror antyreligijny. Meksykanie są wrażliwi na niebezpieczeństwo komunistyczne, szczególnie ostatnio gdy u południowych granic ich państwa w Gwatemali powstał rząd komunistyczny.

Żywym bardzo ośrodkiem walki z komunizmem jest meksykańskie stronnictwo nacjonalistyczne (Partido Nacionalista). Współpracuje ono w tym kierunku z jednej strony z Akcją Katolicką meksykańską z drugiej z Union Civica Internacional. Z inicjatywy tego ruchu wydane zostały w pół milionowym nakładzie materiały o prześladowaniu Kościoła w Polsce nadesłane przez Instytut Polski Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii, opatrzone własnymi komentarzami.

Union Civica Internacional wydaje regulary serwis prasowy dla pism hiszpańskich w całej Ameryce Południowej i Środkowej w postaci drukowanego i ilustrowanego biuletynu z wielobarwnym tytułem „Informaciones Exclusivas". Biuletyn ukazuje się co tydzień i wychodzi już trzeci rok.

Numer biuletynu z 6 maja przynosi m.i. obszerną recenzję o wydanej ostatnio w Meksyku broszurze „Quiero ser libre" (chcę być wolny) opisującej przygody Hajdukiewicza, Ćwiklińskiego, Galla, Jareckiego, Korowicza, Krycuna i ich ocenę sytuacji w Polsce.

Współpracownikiem polskim ruchu antykomunistycznego meksykańskiego jest p. J. Skoryna-Lipski, delegat Koła Armii Krajowej na Meksyk.

POLSKA W „CENTRE AFRIQUE"

Największe pismo w Kongo „Centre Afrique" ogłosiło obszerne wyjątki ze wspomnień p. Jana Barańskiego pt. „Mon Pays Perdu". Wspomnienia te obejmują lata wojny i tułaczki w Europie powojennej i składają się z dwóch części: „Obóz koncentracyjny w Sachsenhausen" i „Personne déplacée". W przedmowie redakcja m.i. pisze: „Jest to świadectwo o naszej epoce, które każdy powinien przeczytać i które nabiera nowej aktualności wobec wydarzeń za żelazną kurtyną, a w szczególności w Polsce".

Wspomnienia p. Barańskiego mają ukazać się w wydaniu książkowym, z przedmową rektora uniwersytetu katolickiego w Louvain.

Z ŻYCIA POLITYCZNEGO I SPOŁECZNEGO

ZJAZD ZJEDNOCZENIA DOMAGA SIĘ WYZNACZENIA NASTĘPCY PREZYDENTA

Pod znakiem głębokiej troski z powodu niepodpisania dotąd przez prez. Zaleskiego nominacji gen. Kazimierza Sosnkowskiego na następcę Prezydenta R.P. oraz zdecydowanej woli niedopuszczenia do podważenia osiągniętego z takim trudem zjednoczenia, obradował w Londynie 22 i 23 maja walny zjazd Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii. W skład Zjednoczenia wchodzą polskie organizacje społeczne z całej Wielkiej Brytanii.

Wyraz tej samej trosce dali również w przemówieniach powitalnych na otwarciu zjazdu przedstawiciele trzech centralnych organizacji społecznych wychodźstwa, Światowego Związku Polaków z Zagranicy skupiającego jeszcze w latach przedwojennych dawną emigrację, Zjednoczenia Polskiego Uchodźstwa Wojennego i Stowarzyszenia Polskich Kombatantów.

Zjazd powziął uchwałę witającą podpisanie Aktu Zjednoczenia, a w wystosowanej do gen. Sosnkowskiego depeszy zapewnił go o całkowitym poparciu. Depesza skierowana do prez. Zaleskiego mówi:

„Zjazd Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii zwraca się do Pana Prezydenta o mianowanie gen. Kazimierza Sosnkowskiego następcą Prezydenta R.P. zgodnie z własnym ogłoszonym zamiarem Pana Prezydenta, zgodnie z wynikiem konsultacji stronnictw politycznych i zgodnie z gorącym pragnieniem społeczeństwa polskiego. Zjazd stwierdza, że brak nominacji gen. Sosnkowskiego oraz ostatnio prowadzona walka przeciw Ak-

towi Zjednoczenia Narodowego wyrządzają bardzo poważne szkody w życiu społeczeństwa polskiego na uchodźstwie. Tylko szybka i zgodna z wolą społeczeństwa polskiego decyzja Pana Prezydenta może zapobiedz pogłębieniu się tych przeszkód i uchronić polskie instytucje państwowe na uchodźstwie od grożącej im ruiny. Zjazd zapewnia Pana Prezydenta, że zorganizowane społeczeństwo polskie nie ustanie w walce o realizację zjednoczenia narodowego i wyraża głębokie zaniepokojenie wiadomościami prasowymi o zamiarze nie mianowania gen. Sosnkowskiego następcą Prezydenta R.P.".

Zjazd polecił także zarządowi Zjednoczenia współpracę z Komisją Porozumiewawczą stronnictw stwierdzając, że „w dziedzinie zjednoczenia narodowego należy współdziałać z wszystkimi czynnikami reprezentującymi Polaków na emigracji, a stojącymi na gruncie walki o niepodległość. Zjazd zaleca w szczególności Zarządowi Zjednoczenia utrzymywanie kontaktu z Komisją Porozumiewawczą, wyłonioną przez wszystkie stronnictwa i ugrupowania polityczne, które podpisały Akt Zjednoczenia w dalszej akcji na rzecz zjednoczenia narodowego, w dziedzinie współdziałania organizacji społecznych w tej akcji".

Obrady zjazdu dotyczyły w dużej mierze zagadnień kulturalno-oświatowych, zwłaszcza rozbudowy szkolnictwa dla dzieci i młodzieży. Uchwalono też szereg odpowiednich wniosków, w których m.i. podniesiono z uznaniem rolę wychowawczą duchowieństwa.

Walny zjazd poparł w całej pełni inicjatywę Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii w sprawie przywrócenia krzyża w godle państwowym i usunięcia pięcioramiennych gwiazd ze skrzydeł orła.

W wyniku wyborów prezesem Zjednoczenia na rok następny został p. S. Lis, do zarządu weszli pp. H. Archutowski, S. Benedykt, J. Cywiński, S. Grochola, P. Hęciak, W. Krzakowski, S. Nebelski, W. Quirini i R. Zakrzewski, do komisji rewizyjnej pp. W. Dunin-Borkowski, T. Bugayski, W. Donigiewicz, J. Płazak i A. Urbański.

ZEBRANIA I ODCZYTY

Koło Stronnictwa Narodowego w Birminghamie urządziło 16 maja zgromadzenie publiczne z odczytem przybyłego z Londynu mec. Zbigniewa Stypułkowskiego na temat „Prawda o zjednoczeniu". Zgromadzeniu przewodniczył dr M. Szamocki. Uchwalona przez aklamację rezolucja mówi:

„Fakt, że mimo podpisania przez wszystkie ugrupowania polityczne Aktu Zjednoczenia narodowego, nominacja gen. K. Sosnkowskiego na następcę Prezydenta R.P., do czego Prezydent się zobowiązał, jeszcze nie nastąpiła, napawa nas wszystkich głęboką troską o przyszłość i skuteczność akcji niepodległościowej wolnych Polaków. Dalszą zwłokę uważamy za łamanie zasad demokracji, sprzeciwianie się woli całego społeczeństwa i działanie na niekorzyść Polski. Wyrażamy opinię, że żaden formalny przepis konstytucji nie może uchronić osób odpowiedzialnych za ten stan rzeczy od zarzutu, że działają wbrew woli narodu. Apelujemy do Pana Prezydenta o niezwłoczne wyznaczenie gen. K. Sosnkowskiego na następcę Prezydenta R.P. i położenie kresu istniejącemu kryzysowi".

★

Spośród licznych uchwał podejmowanych przez organizacje społeczne w sprawie wyznaczenia następcy na urzędzie Prezydenta R. P., podajemy rezolucję powziętą 2 maja na walnym zebraniu Koła SPK Nr 225 w Birminghamie:

„Sytuacja istniejąca od szeregu już tygodni po podpisaniu przez wszystkie ugrupowania polityczne Aktu Zjednoczenia narodowego, napawa nas głęboką troską o przyszłość i skuteczność akcji niepodległościowej wolnych Polaków. Hamowanie realizacji zjednoczenia przez wstrzymywanie nominacji gen. K. Sosnkowskiego na następcę Prezydenta R.P. uważamy za niewskazane i szkodliwe. Apelujemy do Prezydenta R.P. o natychmiastowe wyznaczenie gen. K. Sosnkowskiego na następcę Prezydenta R.P. Wyrażamy opinię, iż żaden formalny przepis konstytucji nie może uchronić osób odpowiedzialnych za ten stan rzeczy od zarzutu, że postępują niezgodnie z wolą społeczeństwa, łamią zasady demokracji i nie działają na korzyść sprawy polskiej".

★

P. Józef Werner, członek władz głównych Stronnictwa Narodowego przemawiał 9 maja w osiedlu polskim Kelvedon na zebraniu urządzonym w rocznicę konstytucji majowej. Na zebranie przyszli wszyscy mieszkańcy, w liczbie paruset osób. Program obchodu urządzony był pod hasłem popierania Polskiej Macierzy Szkolnej.

★

P. Paweł Hęciak wygłosił 16 maja w Cambridge na zebraniu grona miejscowych Polaków interesujących się sprawami ziem odzyskanych odczyt o celach Związku Polskich Ziem Zachodnich. Po dyskusji postanowiono utworzyć Oddział Związku w Cambridge. Prezesem zarządu wybrano p. M. Chowańca, sekretarzem p. K. Szlauera, skarbnikiem p. H. Wróblewskiego, do komisji rewizyjnej weszli pp. Z. Mackiewicz, A. Tomaszewski i A. Wiśniewski.

★

We Francji, w Lens (P. de C.) inż. A. Tokarski z Lille wygłosił 4 kwietnia na zebraniu Koła Stronnictwa Narodowego referat o strukturze gospodarczej Polski. Przyjęto nowych członków na kurs kandydacki. 25 kwietnia Koło urządziło święcone dla szłonków i sympatyków Kół w Lens, Roubaix, Lille i Pecquencourt. Zebranych przywitał kierownik Koła p. S. Tomaszuk, stoły poświęcił ks. Gajdzik. Przemawiali przybyli z Paryża przedstawiciele Wydziału Wykonawczego SN we Francji pp. W. Owoc, K. Żółtowski i W. Furka. Obecnych było przeszło sto osób.

★

W Pecquencourt (Nord) w miejscowym Kole SN odbyło się 11 kwietnia przyjęcie nowych członków, przyrzeczenie odebrał p. T. Gołąb. Kierownikiem Koła jest p. F. Piskuła.

DZIESIĘCIOLECIE BITWY POD MONTE CASSINO

W ramach obchodów dziesiątej rocznicy bitwy o Monte Cassino odbyła się 16 maja w Albert Hallu uroczysta akademia. Otworzył akademię gen. K. Wiśniowski witając zebranych, a następnie zawiadamiając o nominacji gen. W. Andersa na generała broni. Z kolei kpt. E. Lubomirski przywitał przedstawicieli armii brytyjskiej i gości zagranicznych, po czym odczytał szereg listów i depesz nadesłanych z okazji dziesięciolecia, m.i. od prez. Eisenhowera i prem. Churchilla. Po apelu żołnierzy poległych pod Cassino, przeprowadzonym przez gen. Z. Szyszko-Bohusza, wygłosili dłuższe przemówienia poświęcone walkom żołnierza polskiego i jego zwycięstwu w bitwie pod Monte Cassino b. dowódca 8 Armii gen. O. Leese i b. dowódca 2 Korpusu gen. W. Anders.

W części artystycznej zostało wystawione widowisko pt. „Czerwone maki", pióra F. Konarskiego (Ref-Rena), w reżyserii L. Kielanowskiego, z udziałem około dwustu artystów, dwóch chórów oraz orkiesty.

W uroczystościach we Włoszech wzięły udział pielgrzymki żołnierskie z Anglii, Francji i Niemiec. Kilkudniowe uroczystości odbyły się w Cassino na historycznym polu bitwy, w Rzymie oraz Loreto i Bolonii gdzie znajdują sie dwa wielkie cmentarze polskie.

POLACY OBROŃCOM TWIERDZY DIEN-BIEN-FU

W związku z upadkiem bohatersko bronionej przed wojskami komunistycznymi twierdzy Dien-Bien-Fu w Wietnamie, prezydium Zjednoczenia Polskiego Uchodźstwa Wojennego przesłało na ręce ministra spraw zagranicznych Francji p. G. Bidault pismo następującej treści:

Zjednoczenie Polskiego Uchodźstwa Wojennego, organizacja grupująca 500 tys. polskich uchodźców w Europie i poza oceanami, dowiedziało się z największym wzruszeniem o upadku twierdzy Dien-Bien-Fu po 57 dniach bohaterskiej obrony. Żołnierze polscy, którzy w czasie ubiegłej wojny na wszystkich frontach świata walczyli obok Francuzów o wspólne narodom naszym ideały wolności, mieli możność również i obecnie walczyć ochotniczo pod rozkazami legendarnego gen. de Castries. Dlatego też w tej ciężkiej dla Francji chwili w imieniu rozproszonych po całym świecie uchodźców Polaków pragniemy przesłać na ręce Pana Ministra wyrazy podziwu i sympatii oraz nadziei, że bohaterska Francja wiodąca walkę z wrogami chrześcijaństwa i cywilizacji, znajdzie uznanie i rzeczywiste poparcie całego wolnego świata oraz doprowadzi do triumfu prawdziwej sprawiedliwości i wolności w stosunkach między narodami.

List podpisali za Komitet Wykonawczy ZPUW pp. W. Olszewski prezes i B. Gajewicz wiceprezes.

„MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata: półroczna 18 s lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol. (opłata lotnicza do USA półrocznie 1.50 dol., rocznie 3 dol.).

Printed for „Myśl Polska" by Gryf Printers (H. C.) Ltd., 171, Battersea Church Rd., London, S. W. 11, tel. BAT 0879. 1 June 1954